1923 r. WRZESIEŃ № 16.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

Redaktor Naczelny: Julijan Ejsmond. Komitet Redakcyjny: Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redakcja: Szpitalna I. Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

WARSZAWA — POZNAŃ.



WIELKI KONKURS MYŚLIWSKI.

Dla rozbudzenia w Polsce ruchu literackiego wśród myśliwych, redakcja „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" postanowiła urządzić wielki Konkurs Myśliwski z szeregiem nagród za opracowanie jednego z trzech powyższych tematów:

1) monografja jednego z polskich zwierząt lub ptaków łownych (praca naukowo-myśliwska).

2) wspomnienie z osobistych przeżyć myśliwskich (praca literacko-myśliwska).

3) studjum o psie myśliwskim (na dowolny temat).

Skład jury, szczegółowe warunki i termin konkursu, jak również rodzaj nagród podany zostanie w numerze 17 naszego pisma. Prosimy PP. Myśliwych o przygotowanie zawczasu materjału.

Zwierzostan Pamiru.

(*Dalszy ciąg*).

Stadka skalnych kozłów pokazywały się na Pamirze często, ale zawsze o tyle daleko, że strzelanie do nich byłoby marnowaniem ładunków, których zawsze miałem zamało, bo wyprawa, obliczona na rok lub półtora—ciągnęła się po 2 lata i dlużej.

Nie mogę powiedzieć, żeby kozy bały się i uciekały. Oczywiście ludzi tu było zamało i kozy nie widziały w nich wrogów, lecz trzymały się instyktownie na pewnym dystansie od strzelca. I to właśnie drażniło myśliwego. Człowiek piął się na urwiska, nie mogąc tchu złapać; zdawało się że już, już podejdzie na strzał, a stadko robi kilka lekkich skoków i znów jest o 300—400 kroków dalej, żerując spokojnie. Ciekawe, że prowodyr stadka zawsze szedł ostatni, często jakby wyczekując myśliwego i wpatrując się w niego krwią nabiegłemi oczyma. Szczególnie trudno było spuszczać się w drodze powrotnej do obozu. Pod górę szliśmy pod wpływem namiętności myśliwskiej, czepiając się skał rękami i nogami. Ale wracaliśmy wyczerpani, z trudem posuwając się po urwiskach. Nieraz rozpacz ogarniała, gdy niemożna było zejść tam, gdzie się wchodziło bez wysiłku. Jeżeli myśliwym, polującym we 2—3, udawało się przypędzić stadko do stromej skały, skąd zwierzęta nie mogły się wydostać, wtedy prowodyr stada, błyskawicznie rzucał się na myśliwego; jeżeli ten nie zdążył go zabić, potężnem uderzeniem z rzucał go ze skały. Taki właśnie wypadek ataku miałem na przełęczy Ming-teke, gdzie zabiłem największego kozła w życiu. Był to rzeczywiście rzadki okaz nawet w tamtejszych stronach, bo jeżeli wierzyć, że karby na rogach oznaczają przeżyte lata — miał ich co najmniej 42. (Fotografja w Redakcji „Przeglądu Myśliwskiego"). Wspinaliśmy się za stadkiem we trzech, pędząc je na prostopadłe skały, stadko powoli uchodziło w górę, a prowodyr ciągle zostawał z tyłu, zatrzymując się, zwracając ku nam z opuszczonemi rogami i patrząc wściekłemi, krwią nabiegłemi oczami. Parę razy dopuszczał mię na pewny strzał. Nie strzelałem, bo zatrzymywał się w tak wąskich miejscach, że raniony czy zabity musiał spaść w przepaść, a szkoda mi było skóry i rogów. Nagle, gdy zatrzymałem się, żeby odetchnąć i nabrać powietrza, rzucił się ku mnie z taką wściekłością, że stropiony, instyktownie chciałem się cofnąć i nim zorjentowałem się i złożyłem do strzału — kozioł był o jakie 15 — 20 kroków, skacząc przez wyrwę ogromnemi susami. Po strzale poderwał się do góry i runął

w przepaść. — Spuściwszy się na dół — odnaleźliśmy kozła. Skórę miał zupełnie zniszczoną. Nie miał nosa i kawała szczęki. W pośpiechu przy strzale ręka mi drgnęła: drogobym zapłacił za stropienie się, gdyby nie teren, na którym nawet i kozioł raniony nie mógł się utrzymać. Odrąbaliśmy rogi, a myśliwy krajowiec rozpruł brzuch i ostrożnie wyciął woreczek z żółcią, która na równi z żółcią niedźwiedzia, zmieszana z sadłem ma służyć za doskonałe lekarstwo na odmrożenia i skórne infekcyjne choroby, jakiemi często zarażone są całe auły krajowców.

Barsy (azjatycka pantera—kaflan Felis irbis) spotykają się na Pamirach rzadziej. Trzymając się gór i gęstych zarośli—barsy zjawiają się tam tylko latem, w pogoni za papajami, które pojawiają się na tamtejszych pastwiskach po zejściu śniegu. Jest to zwierzę o połowę mniejsze od tygrysa, —wielkości dużego psa, bardzo kształtne, z kocią głową, potężnemi w stosunku do korpusu, łapami i długim ogonem. Skóra na grzbiecie ciemna, szaro-brunatna, boki jasno-żółte w czarne centki, ogon szaro-brunatny. Polowanie na barsy jest bardzo trudne z powodu ostrożności i czujności tego zwierzęcia, a także niedostępności terenów, w których się kryje. Bars poluje na papaje (dzikie barany) i skalne kozły, porywając koźlątka, ale unikając spotkania ze staremi samcami. Na ludzi się nie rzuca, chyba zraniony, albo w ostateczności. Ludzi się jednak nie boi, trzymając się tygodniami w pobliżu stad nomadów i co noc, bez kłopotu, porywając wypatrzone ofiary. Nie dba również o kirgizkie owczarki, które skutecznie bronią stada od wilków, ale czują szacunek dla barsa i trzymają się zdala, przeraźliwie skomląc.

Bardzo ładny egzemplarz barsa z gór Himalajskich zdobyłem zupełnie wypadkowo i jedyny raz w życiu właśnie w basenie Iły - su, o którym mówiłem wyżej.

Spuściwszy się w Pamirów — zatrzymaliśmy się na gorących źródłach o temperaturze 47° C. Cały teren porosły dużym lasem i gęstemi, zaroślami trudnemi do przebycia na bezleśnym Pamirze—wprost zachwycił nas. W źródłach kąpaliśmy się do upadłego. Nastała ciepła, bezwietrzna jesień. We dnie słońce prażyło. W nocy przed namiotami rozkładaliśmy ognie, któred yżurni podtrzymywali do rana.

Jedzenia nam nie brakło, bo oprócz zapasu suszonego mięsa i ryby z Pamiru, sprowadziłem z Kaszgarji przez kirgizów kaszę i mąkę, a także, nie wiedząc czy i jaką zwierzynę znajdziemy w pustyni Raskiemu, którą mieliśmy zbadać na przestrzeni 1,300 mniej więcej kilometrów, kupiłem 100 żywych baranów, które pędziliśmy przy karawanie, jako zapas żywności ruchomej,—a górskie kury dawały nam przewyborne pieczyste.

Delektowaliśmy się wypoczynkiem. Naraz w nocy przepadł baran. Wszelkie poszukiwania nie dały wyniku. Przypomniałem sobie, że przez sen słyszałem w nocy jakieś poruszenie między stadkiem baranów, które rzuciło się w popłochu z jednego końca obozu na drugi, ale na okrzyki dyżurujących uspokoiło się. Ponieważ baran w nocy nigdy nie oddzieli się od stada, więc jasnem było, że został porwany przez drapieżnika, który usadowił się w pobliżu obozu i mógł poczynić poważne szkody. Ekspedycja, oprócz mnie, składała się z 7 kozaków, 3 krajowców z Turkiestanu moich długoletnich towarzyszy, preparatora niemca i myśliwego krajowca, który szedł z nami za zapłatą na przestrzeni pewnego rejonu w ciągu paru lub kilku miesięcy, a potem wracał do siebie: razem 13 ludzi i 40 koni.

Zarządziłem obławę, która była nie trudną, gdyż rzeczka Iły-su biegnąc krętem korytem, dzieliła gąszcze na stosunkowo niewielkie odłamki, łatwe do przeszukania dla 13 ludzi. Jakoż przy drugim namiocie usłyszałem krzyki preparatora po niemiecku, że on „coś“ widział, co szmyrgnęło w stronę zboczy. Wybiegłszy na przełaj z zarośli, zobaczyłem panterę (barsa), która o 60 kroków odemnie, spokojnie, nie śpiesząc, poczęła się wspinać na zbocze góry, ciągnąc ogonem po ziemi i nie wykazując najmniejszego niepokoju. Złożyłem się jak mogłem najlepiej i posłałem kulę z ekspresu, mierząc w lewy bok pod łopatkę.

Pantera odrazu przypadła do ziemi. Byłem przekonany, że jest tylko zraniona i czai się do skoku. Więc obszedłem ją dokoła, wszedłem na zbocze i dojrzałem, że pantera obficie broczy posoką z pyska i boku, i że poniosła śmierć na miejscu.

Staliśmy na miejscu około tygodnia, był więc czas, by spreparować moje trofeum. Kula przebiła klatkę piersiową z lewej strony i eksplodowała wewnątrz, niszcząc najważniejsze organy, co spowodowało momentalną śmierć. Był to najlepszy czas do polowania: późna jesień, kiedy skóra nie straciła letniego połysku, a już podbita była ciepłym zimowym puchem. Po spreparowaniu — przesłałem skórę przez Beka Sarykolskiego do generalnego konsula rosyjskiego w Kaszgarze z prośbą, by ją przesłał odemnie cesarzewiczowi Mikołajowi (później cesarzowi Mikołajowi II), który łożył pieniądze na ówczesną moją podróż. Później w Raskiemie, parę razy spotkałem jeszcze barsy, ale nigdy nie udało mi się dojść do strzału.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

Ku indyjskiej rubieży.[1]

(Dokończenie)

VII. Ostatnie łowy.

Zbliżał się termin wyjazdu. 20-go października postanowiliśmy puścić się w drogę powrotną. Przedtem jednak mieliśmy zamiar parę całych dni poświęcić nagankom wyłącznie na tygrysy. W tym celu 17-go wczesnem świtaniem, gdy tylko gwiazdy pobladły i świeży powiew poranny zakołysał czubami trzcin, wyruszyliśmy całą gromadą, zostawiając w obozie tylko jednego kozaka.

Z czternastu biorących udział w wyprawie, 6-ciu, z Niazem na czele i Czajanem do pomocy miało stanowić naganką, a 8-miu, między którymi byli Kościuk, Baryl i Ihnat, jako bardzo dobrzy strzelcy — linję myśliwych.

Zapuściliśmy się wgłąb wyspy o wiele dalej, niż dotychczas, a pierwszy miot był wzięty w pobliżu miejsca zabicia tygrysa. Nie jeden raz huczały mocnym tententem i rozgłośnym trzaskiem spłoszone dziki, przerywając się przez linję strzelców, lecz ani jeden karabin nie podniósł się na ich widok, gdyż strzał był dozwolony tylko do srogiego szejra i do barasinga, którego jaknajwięcej egzemplarzy należało zdobyć do zbiorów.

Cisza więc trwała na linji. I tak monotonnie, choć w ciągłem oczekiwaniu zeszedł dzień cały. Noc spędziliśmy przy ogniu.

Następnego dnia w trzecim miocie, przypadającym podług obliczeń Bilkiewicza mniej więcej w środku wyspy, gdzie znajdowały się spore przestrzenie, spustoszone w roku zeszłym przez ogień i teraz nadzwyczaj bujnie zarośnięte, stałem na dobrem stanowisku. Długi pas stepowej trawy, wzdłuż którego umieszczeni byli strzelcy, był przecięty w kilku miejscach wązkiemi szyjami dżungli trzcinowej, stanowiącemi naturalne przesmyki dla ciągnącego zwierza.

Naganka zbliżała się i trzask trzciny dochodził już chwilami przez jednostajny poszum wiatru. Od lewej strony widziałem stojącego tuż przy zwartej ścianie trzciny Ihnata, dalej Siergieja, poza którym w następnej szyi stał Bilkiewicz. Mój przesmyk, szerokości trzydziestu kroków, przeświecał na wylot, tak że mogłem widzieć każdego przechodzącego zwierza.

Z suchym trzaskiem przewalił o dziesięć kroków odemnie duży odyniec, ciemniejąc ogromną plamą swego cielska w płowych trzcinach, gdy wtem usłyszałem ostre, zajadłe ujadanie Czajana i zaraz potem w głębi ostępu rozległ się suchy huk karabinowego strzału.

Zatrzepotało się serce i, bijąc mocno, podeszło aż pod gardło, a ręce wpiły się kurczowo w trzymaną w pogotowiu broń. Nastała długa, nieskojna chwila wyczekiwania. Jednostajnie szumiały trzciny; słuch, napięty do ostatnich granic możliwości, starał się ułowić szmer oczekiwanych kroków.

A wtem ujrzałem, jak Ihnat podniósł karabin do twarzy. Chwila upłynęła,—kozak nie strzelał, lecz trwał dalej w jednakowej pozycji. Napięcie nerwów doszło do najwyższego stopnia. Ale wycelowany karabin opuścił się znowu na dół.

Jeszcze chwila, złożył się Siergiej i ujrzałem, jak z dżungli wychynął nagle duży tygrys i, ujrzawszy człowieka, sadził wielkimi susami przez łączkę.

Buchnął strzał Siergieja, potem zadymił się przesmyk trzcinowy w miejscu, gdzie stał Bilkiewicz, i zwierz, powłócząc nieco zadem, dopadł gęstwiny i znikł w niej.

Zajęty tą sceną, nie zważałem na to, co się działo koło mnie, dopiero wyraźny szmer w ostępie ściągnął mą uwagę.

Zwróciłem głowę i oniemiałem. W odległości dziesięciu kroków, pomiędzy rozchylonemi trzcinami patrzała na mnie, niby wycięta z obrazka, głowa tygrysia.

Młody, widocznie tegoroczny, zwierz wlepił we mnie swe zielone, fosforyzujące ślepia i trwał bez ruchu, zdziwiony obecnością człowieka, którego być może nigdy jeszcze w życiu nie widział.

Szybkim ruchem podrzuciłem strzelbę do twarzy, lecz zanim doniosłem kolbę do ramienia, głowa znikła, jakby się pod ziemię zapadła.

Ledwo słyszalnie zachrzęściła gdzieś trzcina na prawo odemnie. W kilkunastu susach przesadziłem gęsty przesmyk w nadziei, że zwierz wyjdzie na łączkę za nim, ale oczekiwania moje się nie sprawdziły.

Tymczasem zaś naganka zbliżała się ciągle: już słychać było wyraźnie posuwające się wciąż naprzód trzeszczenie. Wróciłem na dawne miejsce, a w chwilę później ruszyłem powoli brzegiem łączki ku miejscu strzałów.

W to miejsce ściągała też naganka i schodzili się myśliwi.

Ciągnąc coś za sobą, pokazali się Niaz z jednym kozakiem i dostrzegłem wywleczonego z gęstwiny za przednie łapy tygrysa.

Był to młody, widocznie brat tego, co wyszedł na mnie, nieduży, wielkości psa, ale dłuższy i smuklejszy. Kula Niaza strzaskała mu kość pacierzową, a druga dobiła już leżącego.

Niaz puścił Czajana na trop, a tuż za nim z palcem na cynglu ruszyli obaj myśliwi Bilkiewicz i Siergiej.

[1]) Urywki z powieści, która ukaże się w r. b. nakładem księgarni Ś-go Wojciecha w Poznaniu.

Niaz tymczasem opowiadał mi, jak natrafił na zwierza. W gęstych zaroślach łozy i chmielu Czajan, idący przed swym panem, zjeżył nagle szerść i zaszczekał gwałtownie. W tejże chwili tadżik ujrzał, jak z boku wysunął się z gęstwiny młody tygrys i zatrzymał się na sekundę, patrząc na cofającego się ze stulonym ogonem i warczącego psa. Wziął na cel i strzelił, ale kula ze zdobycznego, nowego dla strzelca, karabinu, skierowana na łopatkę, zgórowała i złamała krzyż, w skutek czego zwierz zwalił się na miejscu, nie mogąc kroku postąpić. Będące w pobliżu matka i rodzeństwo wyniosły się widać chyłkiem i wyszły na linję strzelców.

Kwadrans minął, gdy raptem w głębi dżungli, w kierunku, w którym udali się myśliwi, rozległ się strzał. Niepokój jakiś ogarnął mię; — tyle nasłuchałem się opowiadań o niebezpieczeństwie śledzenia ranionego zwierza, a z doświadczenia wiedziałem, jak ryzykowne jest tropienie postrzelonego niedźwiedzia. Pojedyńczy, samotny strzał zaniepokoił mię jeszcze więcej, to też po chwili ruszyłem dobrze widocznym tropem dwóch myśliwych, zagłębiając się w zwarte trzciny.

Niebawem usłyszałem przed sobą trzask i w gęstwinie zamajaczyła dorodna postać Bilkiewicza.

— Leży już! — rzekł radosnym głosem, — duża, ładna tygrysica, paraliż nastąpił przedtem nimeśmy ją dogonili, i nie mogła się już prawie ruszać. Jedna kulka za ucho, żeby się nie męczyła! Siergiej ją tam oprawia, bo ciężka, trudno byłoby dowlec.

Włodzimierz Korsak.

W I L K.

(*Dalszy ciąg*).

W tej samej chwili pasące się zwierzątka zbiły się raptownie w kupę, zachwiały się i rzucając się w jedną i drugą stronę, biegały jak oszalałe, aż, ku naszemu zdziwieniu, poszły wprost na linję wilków. Dopiero teraz zauważyliśmy większą gromadę wilków, półkolem otaczającą je z przeciwnej strony. Jakkolwiek dzieliła nas znaczna przestrzeń, daliśmy salwę w środek zamykającego się koła. Świst kul i podniesiony gęsty pył ich uderzeniem o sypki grunt, przestraszył napastników i rozproszył antylopy, ratując je od pogromu.

W czasie dwukrotnej mej wycieczki na Zakaukazie miałem dość sposobności poznania tamtejszego wilka i o ile udało mi się zaobserwować, nie wiele on różni się od swego północnego krewniaka. Jest nie mniej od tamtego tchórzliwym, również mało ostrożnym, a o wiele mniejszym i marniejszej budowy i siły; futro zaś rzadkie i nie tak puszyste. Tak w wysokich rejonach górskich, jak i w pustynnych nizinach zagłębia Kaspijskiego i błotnistych dżunglach komyszowych pobrzeża morskiego, wszędzie spotykałem tego rabusia w większej ilości. Nie mogę jednak poszczycić się wielu trofeami, gdyż polując wyłącznie na wielkie koty, których ojczyzną są tamtejsze puszcze, nie podobna było mi zajmować się tak pospolitym zwierzem. Kilka razy jednak, w czasie największego napięcia mego w oczekiwaniu najgrubszego zwierza, ten włóczęga wyłaził na mnie tak blisko, że lufą mogłem go dotknąć, a mimo to ani mnie zauważył ani zwęszył. Za mało obrotny i zbyt ciężki, by mógł złapać sarnę, jelenia lub antylopę, bierze je jednak swą wytrwałością i umęczeniem w pościgu, trwającym często całe godziny. W tych okolicach zwierz ten nie jest tak niebezpiecznym dla ludności i jej dobytku, jak w innych okolicach Rosji, a to dla wielkiej ilości dzików, stanowiących ulubione jego pożywienie. Włóczy się też ustawicznie za ich stadami i ustawiczne czyni napady. Walki jego z dzikami nie są łatwe. Zaatakowane stado szybko zbija się w kupę, zasłaniając sobą prosięta i warchlaki, tworzy koło zwarte i z rechotem i hukaniem, a podniesionemi w górę ryjami, staje do obrony. Nie rzadko zdoła się ono obronić i samo zadaje napastnikom razy, lecz gdy wilkom uda się rozerwać koło, wyrządzają straszne w niem spustoszenie. Nie miałem satysfakcji oglądania takiej walki, o której słyszałem opowiadanie tatarów, słyszałem jednak jej odgłos w ciszy nocnej i zrobił on na mnie silne wrażenie swą wrzawą, do wojennego boju podobną. Jako dowód małej przezorności wilka, niech posłuży następujące zdarzenie.

Polowaliśmy w licznem towarzystwie w Ekaterynosławskiej gub. w „Żółtych Wodach“, owem miejscu naszej klęski w wojnach kozackich, a dziś pustynią, krzewami zarosłą. Stałem na odkrytym zupełnie wygonie, skąd miałem rozległy widok na cały teren, mający się opolować, rzadko porosły wikliną. Zaraz po danym sygnale pokazało się stado płowych rabusiów, idących ku naszej strzeleckiej linji gęsiego. Szły tak nieoględnie, że wpadły pod dublet pierwszego strzelca, co je tak oszołomiło, iż, cofając się rozsypały się po całej linji, podstawiły boki do dogodnych strzałów i niemal wszystkie padły ofiarą swej nieostrożności. Na mnie wyszedł tęgi pies, a choć stałem, jak wyżej wspomniałem, na odkrytem zupełnie

miejscu, podszedł na 15 kroków i dostał kulę w swój łeb szeroki.

W Besarabji zaś miałem podobne zdarzenie, gdym, siedział pod dębem; zaszedł mi z tyłu wilk, obszedł dąb i stanął przedemną na kilka kroków, nie zwietrzywszy mnie. Spostrzegł mnie dopiero w chwili, gdym podrzucił do ramienia sztucer. Innym razem, polując na słomki w marnych zaroślach chersońskiego lasku, natknąłem się na śpiącą wilczycę, którą hukiem wystrzału, danego cieniutkim śrótem, zbudziłem.

Pan Chryzostom Pasek w swych wspomnieniach z Danji w 1660 r., mówi o urządzanych tam na wilki konnych pościgach, co wobec znanej wytrwałości zwierza, długo trwać musiało.

Na półwyspie Krymskim, w Taurydzie, Ekaterynosławskiej i Chersońskiej gub. egzystowały przed wszechświatową wojną podobne łowy, w których koloniści tamtejsi wielkie znajdowali upodobanie. Rozległe równiny dziewiczych stepów połudn. Rosji, ciągnące się na wielkiej przestrzeni od wartkiego Dniestru — wspaniałego Dniepru, Donu i Wołgi, aż hen do Astrachańskich pustyń, przedstawiały żyzne i dogodne tereny dla wielkiej hodowli trzód bydła, owiec i koni. To też już w połowie ubiegłego stulecia, rząd rosyjski nadaniem obszernych przywilejów i wielkich obszarów ziemi hodowcom, w celu zachęcenia ich do hodowli, w krótkim bardzo czasie doprowadził do pełnego rozkwitu tę, tak korzystną gałęź gospodarstwa i przemysłu.

Setki tysięcy wełnistych owiec hiszpańskich, trzody siwego stepowego bydła rogatego (węgierskiego), oraz liczne tabuny półdzikich koni, wypasały się na bujnych trawach i puszystej tyrsie i płodziły się w łagodnym klimacie rosyjskich preryj. W swem rozwoju znalazły jednak zaciętego wroga w starym mieszkańcu tych pustyń, dawnym ich gospodarzu, szarym wilku, mającym bezpieczne ukrycie w licznych, a niedostępnych puszczach oczeretowych limanów i porzeczy czarnomorskich. Do walki z tym wrogiem hodowcy tamtejsi z biegiem czasu i mozolnej pracy, wytworzyli osobną rasę psów owczarków, silnych, muskularnych, włochatych zwierząt, które miały ochraniać ich trzody. Psy te swym wyglądem i dzikością były nietylko dla wilka, ale i dla zabłąkanego w stepie przechodnia straszne. Miewaliśmy choć rzadkie, lecz bardzo przykre sceny i zajścia z podróżnymi, poturbowanymi przez nie.

Biada, przechodniu, który ucieczką chciałbyś się obronić. Ratowało tylko nadejście czabanów, nie mniej od nich dzikich, pohopnych do rabunku i excesów, Psy tak zrastały się z swem stadem (otarą), że na krok go nie odstępowały, były pomocą czabanom w dalekich przepędach trzód i w ich pasaniu, Nocą okrążały stado, strzegąc je od napadów wilków, te zaś nie śmiejąc z psami wejść w otwartą walkę, chytrością je podchodziły. Pokaże się na dalekiej wzniosłości lub wysokim kurhanie wilk, zoczą go psy lub czabani poszczują, pobiegną za nim, a zanim go odszukają w burzanach, inny już dostał się w zagrodę lub wpadł w pasącą się oborę i uczynił srogie w niej jatki, a nim psy powrócą, zdołał ujść ich zemsty. Nie rzadko odnajdywaliśmy rankami szczątki rozszarpanego zwierza, ale i psów traciliśmy wiele. Prócz owczarków mieliśmy ścigłe charty krymskie „wołkodawami“ zwane. Odznaczały się one straszną siłą, masywną budową piersi i muskułami, wzrostem i długością a ich sterczące uszy, wielkie oczy i puszyste futro z wachlarzowym ogonem nadawały im wygląd srogi i dziki.

Wł. Czerniejewski.

(Dok. nast.)

KOMUNIKAT GŁÓWNEGO ZARZĄDU POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

Wobec wzmianki w artykule p. St. Haleniaka, zamieszczonym w numerze 15 „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“, jakoby Polski Związek Myśliwych należał do przeszłości, oświadczamy niniejszem, iż Związek nasz na mocy uchwały III Sejmiku z dn. 25 czerwca b. r. zawiesił jedynie czynność swoją agitacyjną na rok jeden, ale bynajmniej istnieć nie przestał i nadal też przyjmuje do swojego Związku nowo zgłaszające się zrzeszenia myśliwskie.

Główny Zarząd Polskiego Związku Myśliwych.

Wyjaśnienie powyższe witamy z radością i głębokim przeświadczeniem, że Polski Związek Myśliwych, który nadal uważamy za naszą centralę łowiecką, obejmie znów pełnienie swych funkcyj, kładąc kres stosunkom myśliwskim, jakie obecnie przeżywamy.

Redakcja ,,Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego.

ROK MYŚLIWEGO --- PRZYRODNIKA

Maj. [1])

Po wczorajszym deszczyku dzisiejszy poranek majowy zdawał mi się szczególnie obiecujący. Śpiącego przy otwartem oknie zbudził mię lament poranny słowików. Postanowiłem natychmiast wstać i obejść dziś te miejsca, gdzie przypuszczalnie liczyć mogłem na spotkanie się z sarnami, by stwierdzić ilość ich oraz stan kozłów, aby przy otwarciu polowania na nie być poinformowanym o każdej sztuce i jej ostoi. Uplanowałem drogę do gminnego lasu, aby przezeń przejść nad stromemi stokami brzegów nadrzecznych. Ztąd był znakomity widok na całą długość łąk i szerokie przestrzenie polne, od bażantarni aż pod Kórnickie odwieczne lasy. Powrót obmyśliłem taki, by przejść przez zasiewy wiosenne i przez lasek—i tam dokuczyć nieco wronom i srokom.

Wyszedłem z domu, jak zawsze, ze strzelbą i lunetą, a towarzyszyła mi tylko moja nierozłączna przyjaciółka, jamniczka Żółtusia. Serce wezbrało, płuca napełniły się świeżem wiosennem powietrzem, a Żółtkę daremnie starałem się trzymać przy nodze, taką okazywała dzisiaj radość i wesołość.

Las i łąki przywdziały wiosenne szaty. Wszystko było okryte świeżą zielonością. Ile rodzajów drzew i krzaków—tyle odcieni barwy zielonej. Nawet ciemne świerki i sosny puściły młode pędy blado-zielonego koloru. Świeży wietrzyk ranny szeleścił w młodych, nocnym deszczem wykąpanych liściach, świecących się w blasku różowych promieni słonecznych, i przynosił wiosenny, miękki zapach kwitnących głogów i czeremchy, świdwy i kaliny.

W zaroślach roiły się niezliczone ptaki. Gwizdała słodko czeczotka—makolągwa, dzwoniec wołał „fuicz“ i „giipp“; zięba „pink-pink“ i „wyocydyyor“; sikora „cycygejg, cycygejg“,—wszystko to śpiewało o radości i miłości! Goniły się zakochane wilgi, kukały kukułki, dudały dudki, turkała para turkawek na wysokiej topoli, a w powietrzu mieszało się przeperowanie tysięcy skowronków z przenikliwym krzykiem kołujących jerzyków. Odczuwałem razem z ptakami, że taki dzień majowy jak dzisiejszy, poświęcony jest miłości. Trzy czaple stały na nadbrzeżnych wierzbach, długie dzioby skierowawszy w lekko falującą wodę stawu. Spostrzegły mnie i dopiero szum skrzydeł odlatujących rybaków wyrwał mię z moich rozmyślań o miłości.

Wyszedłem z parku na łąki. Na nizinie nadrzecznej ujrzałem 4 sarny żerujące na łące. Były tam dwie kotne kozy, zeszłoroczne koźlę i szóstak o wcale niezłych, prawie wytartych porostkach. W słońcu grzały się liczne rzesze bażantów—policzyłem 30 przeszło sztuk. Zajączek kicał na suchej dróżce za parkiem to w jedną to w drugą stronę co bawiło niezmiernie Żółciuchnę. Szedłem w stronę, chłopskich lasów przez łąki i przez most, w góry piaszczyste i wysuszone już przez ciepło słoneczne.

Nędzne, biedne, białe kwiatuszki mokrzykników i kościeńców witały mnie po drodze, a cieszyły się ze słonecznego dnia i ciepła wiosenne motyle i kołysały się nad żółtemi i różowemi kwiatami.

Para zakochanych wiewiórek rzucała suche łupinki kory sosnowej, goniąc się po gałęziach sosnowych. W niedalekim starym lesie bębniło kilka grzywaczy. Do nich się skierowałem z zamiarem podejścia jednego. Bardzo lubię to polowanie na huczącego gołębia. Podchodzenie pod tak ostrożnego i bystrego ptaka wymaga nadzwyczajnej umiejętności i każdemu myśliwemu zalecam gorąco spróbować to samo; gdy się wyćwiczy w podchodzeniu gołębia, z pewnością kozła i jelenia podejść potrafi. W wysokich sosnach gruchało kilka samców grzywaczy; od wieków mają tu one swoje siadła. Niedaleko brzegu wołał jeden głuchym, podziemnym głosem: „Kuku - kukuooou“ i po chwili „kuku“.—Tego mieć muszę! Wszedłszy w las, przystanąłem chwilę, ciekawy, gdzie się ten zakochany rycerz znajduje. Ale daremnie wszystkie wierzchołki sosnowe oczyma zbadałem. Może po 5 minutach usłyszałem dalej o jakie 200 m. ponowne boukanie; czyżby to był mój gołąb? Zobaczymy! Żółtce ostro kazałem warować na kępie turzycy piaskowej; sam podszedłem zaledwie 10 kroków, mój gołąb wyrwał się głośnem uderzeniem skrzydeł z poblizkiej sosny. Więc tu był! Że ja go też nie widziałem! Uważnie za nim patrzałem i nadstawiłem uszu. Zdawało mi się, że znowu usiadł. Szedłem trochę naprzód, od sosny do sosny, wreszcie przystanąłem i słuchałem znowu długą, długą chwilę. Obserwując wszystkie sosny w około, a mego gołębia nie odnalazłszy, ucieszyłem się niemało, gdy usłyszałem ponowne: „Kuku, kukukukuu!“ Wytrzeszczyłem ślepia, aż mi łzy zaczęły kapać — nic! Ale gruchał dalej, więc wiedziałem przynajmniej w jakim kierunku go szukać! Las był rzadki, tem trudniej było znaleźć w kierunku na wprost odpowiednie sosny do osłony. Szedłem jakie 100 kroków dalej, coraz bliżej dawało się słyszeć gruchanie mego ptaka, wzrok mię zabolał od ustawicznego patrzenia w górę, a gołąb jeszcze wciąż był dla mnie niewidzialny. Zadyszany, chciałem się właśnie ustawić za grubem drzewem, gdy usłyszałem lot

---

[1]) Dalszy ciąg feljetonów, drukowanych w „Łowiectwie Polskiem“. Chcąc dać całość, zaczynamy od spóźnionych feljetonów z mies. maja.

(Przyp. Red.)

gołębia i w tej chwili go wreszcie ujrzałem. Wzniósł się w górę, wzbił się może 50 m. wysoko nad sosną, krążył tam kilka razy bez najmniejszego poruszenia nieco w górę wzniesionych skrzydeł, raz schyliwszy się w tę, to w drugą stronę, aż wreszcie kilka razy uderzył z wyraźnem, głośnem trzaskaniem skrzydłami jednem o drugie, poczem spuścił się na dół, usiadł na gałęzi sosnowej, nadął gardło jak gardłacz prawdziwy, głowę nieco nadół schylił i wołał dalej: „kuku"! Dobrze mnie ta moja sosna zakryła, ale jak dalej? Sosna, na której grzywacz miłośnie śpiewał, była jeszcze 70 kroków odemnie, a las stawał się coraz rzadszy. Próbowałem krok za krokiem dalej podchodzić, wciąż mając oczy wlepione w mego śpiewaka. Paskudnie chrobotały tu chrobotki reniferowe, któremi cały piasek był zarośnięty i nim jeszcze za trzecią sosną schronić się mogłem, już gołąb mnie zobaczył. Stałem tak może minutę — mnie się zdawało wiek cały — ja w niego, on we mnie wpatrzony, aż dech mi się zaparł w piersiach, serce waliło młotem, a nogi drżączki dostały. Teraz grucha dalej, ja za sosnę i odpoczywam chwilę. Rozważyłem sytuację: gdybym mógł się dostać jeszcze za następną sosnę, strzał byłby możliwy; więc ryzykuję i ruszam dalej. Znowu krok za krokiem, serce znów wali, każdy mój ruch w ślimaczem tempie, znów patrząc wciąż na moją zwierzynę, nadepnąłem na chrobotki; te tylko lekko zachrzęściły — i już było zapóźno — usłyszałem łopot skrzydeł, słaby świst i ze smutkiem w duszy patrzałem na zwinnie i szybko odlatującego gołębia. Machinalnie podniesioną strzelbę spuściłem i szkło do oczu przyłożyłem. Las był coraz rzadszy, przez co przynajmniej dobrze lot ptaka śledzić mogłem. Usiadł gołąb na jednej z olszyn nadrzecznych. Tam podchodzenie musiało być łatwiejsze, gdyż tam więcej jest osłon i miększa, próchnicowa ziemia.

Zapał mój przemienił się w zapalczywość. Tak, tak, gołębia huczącego podejść, to nie jest tak łatwem przedsięwzięciem, jak się niejednemu nemrodowi zdaje. Dosyć szczęśliwie się dostałem i stosunkowo szybko pod pierwsze olchy. Tam jednak przeszło 10 minut czekać musiałem, nim mój gołąb na nowo się zdradził wołaniem swojem: „kuku-kukuoouu!" Snać kochliwość samca mego była większa niż jego przezorność i musiał się czuć bezpieczniejszym w olszynach, niż w gołej sośninie. Prawie bez przerwy tokował i tokował i nawoływał swoją kochankę do przygody miłosnej. Podszedłem go blisko i w dogodnem miejscu. Serce znowu młotem waliło i ręce i łydki mi się trzęsły od wielkiej emocji — ale mimo to strzał ryzykowałem. Widziałem jeszcze jego srebrny półksiężyc na szyi i ostatni raz wysłuchałem jego „Kuku-kukuouuu-kuku" — i biedak spadł z dymem w ślicznych spiralach, uderzając lekko w kolorowy kobierzec kwiatów, a za nim sypało się, jak śnieżne płatki, pierze. Śliczne w olszynach było miejsce; po minionych trudach odpoczynek był niezbędny: rozciągnąłem się obok gołębia na miękkiej, zielonej trawie. Myślałem, że Żółciula nie wytrzyma po moim strzale i że przyleci; jednakże nie; jamniczka ogromnie się zrobiła posłuszna. Dopiero głośno ją wołać musiałem, by pędem przyleciała, zziajana, szybko gołębia obwąchała, poczem zaczęła dzielić się ze mną radością z udanej sztuki myśliwskiej.

Fr. Unrug.

(D. c. n.)

PIERWSZY POWOJENNY ROGACZ.

Państwu M. poświęcam.

Rogaczy nie strzelałem przez cały czas trwania wojny światowej, z powodów łatwo zrozumiałych dla wszystkich tych, którzy bądź sami służyli 7 lat w wojsku i nie mieli urlopów w odpowiednim czasie, bądź też oszczędzając i tak już nadwyrężoną przez niemców zwierzynę, nie chcieli osobiście przyczyniać się do rabunkowego gospodarowania w kniei.

Czas pozwolił mi 28 z. m. przyjechać do Siedlec, gdzie oczywiście z samego rana spieszę odwiedzić serdecznego przyjaciela Zdziśka L. „Wiesz, mówi na wstępie, jadę dzisiaj do Państwa M., jest w mieście i pan Józef M.: pytał się o ciebie i prosił, abyś z nim się koniecznie zobaczył—Za chwilę tu będzie. Poczekasz".

„Na pana Józefa, odpowiadam, oczywiście poczekam, tembardziej, że dawnośmy się nie widzieli i nie gawędzili, ani o pieskach, których jest wielkim amatorem, ani o polowaniu."

„Zresztą wiesz Zdziśku, muszę się upomnieć o obiecanego koziołka, upoważnia mnie do tego stosunek jaki nas łączy z panem Józefem".

Pan M. nie dał na siebie długo czekać.

W kilku słowach zamknęło się sprawy nas łączące, a przy papierosie, zachęcony miłem zaproszeniem pana Józefa, postanawiam jechać o 5 po południu razem z nim i Zdziśkiem do Woli G.

Mam kilka godzin do pociągu.

Przedewszystkiem wysyłam depeszę do War-

szawy, że znikam na całą dobę i zjawię się dopiero za 2 dni.

Sprawdzam zawartość futerału mego Schönauera, ubieram się—do polowania, przewieszam lornetkę i po gorączkowej wizycie u fryzjera na dworcu — zasiadamy wszyscy trzej w wagonie unoszącym mnie nie tylko do stacji Okrzeja, ale i w krainę fantazji myśliwskiej, wywołanej przedsmakiem zdobyczy i wrażeń.

Jak zwykle zjawia się większa werwa, trochę mniej i więcej lekkich dowcipów: zresztą czas oczekiwania na następny pociąg w Łukowie skracamy sobie b. modnym (w świecie politycznym szczególniej) głosowaniem.

Głosujemy więc względnie uczciwie.

Chodzi mianowicie o to, jaką gazetę należy kupić dla naszego przyjaciela będącego już na wsi.

Wybór trudny, bo Karol B., zacności filozof życiowy i zwykły utalentowany leśnik w jednej osobie, łotysz z pochodzenia, niemiec z wiedzy fachowej i trochę kosmopolita z kultury—naprawdę jest wybredny w czytaniu — nawet gazet.

Trzeba się troszkę rozweselić, a ponieważ wiemy, że Karol moskali więcej niż nie lubi, przegłosowujemy większością jednego głosu (i w Sejmie naszym w ważniejszych wypadkach tak bywało), aby kupić, jako niespodziankę rosyjski dziennik „Za Swobodu".

Młodociany „Ruch", po żądaniu „Za Swobodu" przygląda nam się ze zdziwieniem, szwajcar patrzeć zaczyna z niedowierzaniem, i porozumiewawczo spogląda w stronę „elegancko" uśmiechniętego stróża (przepraszam — dozorcę) bezpieczeństwa.

Po chwili jedziemy dalej.

Słońce zachodzi pięknie, jak codziennie, a dla mnie smutno, bo za chmurę,—w dodatku do wszelkich wróżb o pogodzie i dym „idzie na dół".

Zaczynam się niepokoić o dzień jutrzejszy.

Pan Józef, znający dobrze naturę, zapewnia mnie, że pogoda będzie ładna, pomimo tych wszystkich oznak zajscia za chmurę i dymu ścielącego się dołem.

Zresztą jadąc wolno, ze względu na bliskie macierzyństwo siwej klaczy, po długiej niebytności na wsi, zaczynam napawać się zapachem kwitnących sosen i zbóż: powoli oddaję się słodkim marzeniom o jutrzejszym ranku i zapominam o wszystkich dotkliwych dobrodziejstwach, jakie raczyła na ludzkość sprowadzić cywilizacja.

Nie chcę gwaru wielkomiejskiego, ani nerwowego, pośpiesznego ruchu Warszawy — tramwajów, aut, dorożek, powozów i ludzi.

Jestem szczęśliwy, że mogę tego wszystkiego nie widzieć i nie słyszeć.

Całą duszą jestem w przepięknych lasach i całą duszą staram się uchwycić ich pieśń o cudach, jakie się wewnątrz dzieją, spodziewając się, oprócz znanych mi rzeczy, usłyszeć coś nowego.

Dobrze już pociemniało, gdyśmy zajechali przed dom.

Na ganku spotyka nas, z całą wrodzoną godnością i powagą „Tumruś" — sussex-spaniel, faworyt wszystkich i „oczko w głowie" pani domu.

Witam się na wstępie z panią M., która ukazuje się, jak zwykle, w otoczeniu piesków: wyżła, spanieli, jamniczków, etc. etc.

Wszystko to, jak w arce Noego — po parze i to po b. rasowej parze.

Spieszę zaraz do kuchni obejrzeć progeniturę, bo i spaniele są z dziećmi i jamniki również.

W niebywałej zgodzie, leżą w ciepło wysłanych skrzynkach — cała dzieciarnia razem: jamniki pomieszane ze spanielami i nawet w towarzystwie tem z pod fantazyjnie splecionych ciał szczenięcych wyglądają senne, leniwe, małe koty.

Obok nich w takich samych skrzynkach — maleńkie kaczki, kurczątka, indyki.

Wszystko razem tak poetycznie, tak miło wygląda, że naprawdę zastanawiać się trzeba, jak potężna i piękna jest natura we wszystkich swych przejawach.

Mimowoli nasuwa się porównanie do świata ludzkiego i rzeczywiście przyznać należy, że całą tę sielankę małych psów, kotów i ptaków mógłby zakłócić tylko mały człowiek, największy drapieżnik, który z pewnością w młodocianych igraszkach umiałby zdusić, jeśli nie szczenię lub kocię, to kurczę, albo kaczę.

A tu — dziwna zgoda. Pies — z kotem, kot — z ptakiem.

Od miłego widoku odrywa mnie pani domu, niecierpliwie i niby gniewnie ściągająca wszystkich maruderów na kolację.

Siadamy.

Ździśka — niema: został po drodze w Woli O. dla spełnienia swoich czynności służbowych —' jutro rano przybędzie tutaj, ale nie dla polowania.

Polować będę sam tylko.

Po kolacji — spać.

W planie jest ranne wstanie o godzinie 4-ej, które, po świeżo przebytych wrażeniach i rozmarzeniu leśnem powietrzem nie doszło do skutku, ponieważ obudziłem się dopiero o 7-ej.

Ranek przespałem.

Co robić.

Biorę gajowego i z nim chodzę po lesie do godziny pierwszej.

Sądziłem, że spotkam kozła pośród dnia, jakoż nie omyliłem się w swych przewidywaniach, widziałem kilka sztuk, ale wszystkie tak słabe, że nie kwalilikowały się na odstrzał.

O godzinie pierwszej, wprost z lasu zachodzę do tartaku, aby zobaczyć się z panem Józefem, który o tej porze miał tam być, i aby wspólnie postanowić, jakim sposobem i gdzie zapewnić sobie kozła na wieczór.

W tartaku zastaję wszystkich przy obiedzie: odprawiam niedołężnego gajowego, — siadam również do obiadu, jednak trawiony myśliwską gorączką, nic nie jem oprócz rzodkiewek i lodów, tak pożądanych po kilkugodzinnem chodzeniu.

O godzinie 4 wyruszam ze sprytnym i znającym się na rzeczy gajowym Kulpikiem, który zapewnia „pana administratora" że „gościowi" kozła pokaże i to na odległość strzału.

Idziemy więc z Kulpikiem, „przykomenderowanym" do mojej dyspozycji.

Słońce już zwolna przeszło nad lasem i pochylone zlekka, pozwala natrętnym komarom znęcać się nad odzwyczajoną od tych przyjemności „warszawską“ skórą.

Rozglądam się, aby zasiąść.

Wybór miejsca b. trudny. Zagajnik bowiem dębowo-brzozowy mógł być dobry do strzału lat temu pięć, sześć, dziś już jest za wysoki i pomimo średniej swej zwartości strzelić dalej niż na 30 kroków nie pozwoli.

Trzeba znaleźć „hochstand“, t. jest pierwszy lepszy stary dąb, których tu znaczną ilość pozostawiono na rozsiew.

Upatruję sobie odpowiednie miejsce i drzewo Do pierwszej gałęzi — wysoko.

Przewieszam przez jedno ramię lornetkę, przez drugie Schönauera i z trudem wdrapuję się do gałęzi, na wysokości mniej więcej II piętra.

Kulpika odsyłam z tem, aby się zaraz po strzale zjawił.

Przedewszystkiem scyzorykiem wycinam zbyteczne, zarówno do siedzenia jak i do strzału, gałęzie.

Praca ciężka — dąb twardy.

Godzina dopiero 6-a. Słońce jeszcze dość wysoko, a gałąź na której siedzę chętniebym już zamienił na fotel, ba nawet na... krzesełko.

Ale, czego się nie robi dla... polowania i jakich to wygód myśliwy się nie wyrzeknie.

Wokoło widzę dobrze, w naturalnych lukach, na jakie 300—400 metrów.

Sarny zaczynają się już wałęsać, a więc — lorneta do oka i...

Tu chodzi szpicak samotny, tam znowu kilka sztuk z rogaczem, którego jakości rogów ocenić niepodobna ze względu na dużą odległość.

Zaczyna szarzeć.

Sarny chodzą o sto kroków i dalej, a jest ich kilkanaście sztuk, — prawdziwa uczta dla myśliwskiego oka i to takiego, które dawno już nie miało sposobności obserwowania zwierzyny z ukrycia.

Jakiś pocieszny szpicak zaczyna walkę z kępą mchu i robi to tak zgrabnie i śmiesznie jednocześnie, że wszelkie ludzkie dowcipy są niczem w porównaniu z tym naiwnym, choć zapewne nie bezcelowym turniejem wesołego podrostka.

Nawet komarów już nie czuję, tak mnie pochłonął widok swobodnie żyjących stworzeń, nie przypuszczających, że są podglądane w swej tajemnicy życiowej przez człowieka.

Z tyłu, wolno skubiąc trawę, wyłaniają się 3 kozy i 2 rogacze.

Swawolny szpicak zaprzestał zabawy i zbliża się do towarzystwa.

Zdziwione trochę „panie“, nastawiwszy łyżki, spoglądają ciekawie na gościa, gdy tymczasem kapitalny szóstak z niedwuznaczną miną zbliża się do nieznajomego.

Kilka wzajemnych, bystrych spojrzeń, kilka ruchów uzbrojonemi łbami i kapitulujący młodzieniec w lekkich, szybkich susach, goniony przez doświadczonego i pewnego swej przewagi rywala, znika wraz z nim w gąszczu.

Już dość ciemno.

Do powracającego z owej gonitwy szóstaka trzeba będzie strzelać, bo dalej czekać — może być za późno.

Po kilku minutach zwycięzca wraca, idąc wolno i zatrzymując się niekiedy, przy smaczniejszych trawach.

Podnoszę Schönauera i znów go opuszczam.

Jeszcze raz sprawdzam przez lornetę uzbrojenie pięknej głowy, — celuję długo — .. na komorę, — pociągam szneller, — nadbiegają ostatnie chwile życia zwierzęcego, ale bądź co bądź, życia.

Palec—na cynglu. Już, już zaczyna przylegać do zimnej stali. . .

Wypaliłem.

Tysiączne echa rozniosły haniebny dla puszczy huk.

Sine mgły, ścielące się długiemi językami po brzegach mokradeł, jakby zakołysały się od wstrząsu i ze wstydem poczęły się chować w mrokach nadchodzącej nocy.

Z lekkością 20-letniego chłopca ześlizgnąłem się z dębu.

Podbiegam do miejsca, gdzie strzelałem.

Leży...

Rogi ładne.

Mierzę krokami odległość do dębu.

102.

Strzał niezły.

Jak z pod ziemi wyrasta Kulpik z drugim gajowym.

Składam własnoręcznie rogacza sposobem „litewskim“, przewieszam przez drąg i podążam... za niesionem przez gajowych trofeum.

Po półgodzinie wpadam sam do domu.

Pan Józef, niewiem dlaczego, nie wierzył w dzisiejsze moje powodzenie i wcale nie śpieszy z posłaniem do gajówki po zostawionego tam rogacza, sądzi, że mówiąc, iż zabiłem—żartuję.

W końcu wysłano wózek.

Siadamy do kolacji.

Widzę, po przywiezieniu już rogacza niekłamaną radość państwa M., że udało mi się polowanie.

Rano nazajutrz mamy wyruszyć ze Zdziśkiem i Karolem do Siedlec, a stamtąd do Warszawy.

Szkoda, że tak miły dom muszę opuścić, ale przecież żywię nadzieję, że znów kiedyś szczęśliwy los pozwoli odwiedzić nie tylko czarowne lasy, ale i miłych, serdecznych ludzi, którzy sami będąc myśliwymi z krwi i kości, rozumieją cudzą tęsknotę do rzeczy kochanych i upragnionych.

Jerzy Dylewski.

O wyżle i jego układaniu.

(*Ciąg dalszy*)

Muszę nadmienić, że mieszkając zawsze na wsi, mogę uwzględnić tylko wiejskie warunki, a zarazem, że nigdy nie układałem psa systematycznie, jak to według recept wskazują podręczniki, na każdy wykład przeznaczając tyle a tyle dni z rzędu, po tyle a tyle razy dziennie. Na takie postępowanie mogą sobie pozwolić treserzy z zawodu, poświęcający się tylko temu zajęciu. Ja uczę wtedy, gdy mam czas i ochotę. Na wsi z czasem bywa różnie. Czasem parę dni nie mam co robić i wtedy lekcje odbywam często, czasem znów kilka dni lub tydzień i dwa nawet niema czasu na lekcję, lub zmęczonemu nie chce się psem zajmować. To jednak źle na elewa nie wpływa. Pies ma pamięć doskonałą. Nie wymagajmy od niego rzeczy odrazu trudnych—uczy się łatwo i dobrze pamięta.

Z pieskiem, szczególniej pointrem angielskim, obchodzić się trzeba jak z dzieckiem; łagodnie, stanowczo i z uwzględnieniem jego indywidualności. Wszelkie układania par force dają wyniki dobre tylko w rękach bardzo wytrawnych treserów i to przeważnie w stosunku do wyżłów niemieckich. Niemcy ze swą pedanterją i szablonem mają ścisłą metodę łamiącą psa i naginającą go do posłuszeństwa; taka już ich niemiecka natura, ale prędko zauważyli, że ta metoda nie odpowiada charakterowi angielskich wyżłów i przez krzyżówkę doszli do rasy, z której za pomocą bata, korali i krzyku — robią czasem doskonałe użytkowe psy, często jednak automaty bez indywidualizmu, wiecznie pochmurne i flegmatyczne. Nie zapominajmy jednak, że i w szkolnictwie niemieckiem—linijka i klęczenie odgrywa ważną rolę pedagogiczną, które to w zastosowaniu do dzieci polskich lub francuskich i angielskich dałyby opłakane rezultaty.

Muszę się przyznać, że lubię układać i wychowywać wyżły i gdy raz nie miałem żadnegodo nauki, to mi wciąż czegoś brakowało, to też prawie co roku przychowuję sobie, lub kupuję szczeniaczka, edukuję go, poluję z nim sezon lub dwa, aż mi następnie stanie się zdatnym do użytku i wtedy jestem ogromnie rad, że komuś za niedrogie pieniądze zrobiłem wygodę.

Przypuszczam, że na konkursach psy moje nagrody by nie otrzymały, gdyż do tego trzeba staranniejszej i systematyczniejszej zapewne nauki; zresztą mam i ja swoje zwyczaje, któreby się kłóciły z paragrafami sędziów konkursowych. Naprzykład pozwalam psu, a nawet uczę przy spadaniu kuropatwy odrazu iść po nią, zarazem pilnując, aby przy pudle pies się nie posunął. Do tego zwyczaju doprowadziło mię doświadczenie z gubieniem kuropatw w razie dubleta w łubinach, burakach lub saradelach. Jeżeli ptak jest zbarczony — łatwiej go odszukać, jeśli zaś dwie kury spadną kamieniem i każda w innej stronie, to szalenie trudno je odnaleźć, nie wiedząc ściśle miejsca, gdzie która spadła. Poczekawszy parę godzin, pies by je znalazł, ale nieraz za parę godzin jest się zupełnie w innej stronie.

Tak zaś pies pędzi i przynosi mi jedną, ja zaś obserwuję uważnie miejsce, gdzie spadła druga, poczem idziemy tam obaj i z łatwością ją odnajdujemy. Nieraz spłoszy się tym sposobem jaką przycupniętą młódkę, ale, co prawda wolę raz mniej strzelić, niż dwa zgubić.

Za to w innych przymiotach celują moje pieski: żaden mi nigdy nie gonił zajęcy, w domu nieporządków nie robił, gościom się nie naprzykrzał, za to kuropatwy twardo wystawiał, aportował dobrze i był posłuszny na gwizd i skinienie ręki.

Zacznę więc od początku.

Kupuję lub przychowuję sobie szczeniaka, z obowiązku już rasowego. Mieszańca, ani niepewnego pochodzenia — nie warto. Wychowanie psa rasowego tyleż kosztuje, co i pokurcza; nauka dużo łatwiejsza, a szansa udania się? O ile 90 na 100 rasowych szczeniaków stanie się z czasem doskonałemi psami, o tyle również 90 na 100 mieszańców okaże się gałganami bez węchu. Ja raz miałem, coprawda, z fenomenalnym węchem wyżła po ojcu pointerze, a matce pół krwi pointerce, a pół krwi gordon-cetter, ale muszę dodać, że z tegoż gniazda miałem drugiego psa wcale lichego, a dwóch jego braci u sąsiadów było zupełnie do niczego.

Psa tego miałem wyjątkowo długo, bo 7 lat, potem stał się nieznośny, tak gryzł ludzi i młodsze psy, że musiałem go sprzedać. Sława jego była na całą okolicę i dużo suk z nim było łączone, lecz całe potomstwo po nim było skończonemi gałganami i co do form i co do węchu.

Ale do rzeczy. Jeśli można sobie psiaka wybrać, to co do maści należy się kierować własnem upodobaniem, jedynie zwracać trzeba uwagę, aby to był jeden z większych w miocie i prawidłowo, t. j. symetrycznie ułacony. Obrzydliwe wprost jest n. p. pół głowy białe, a pół ciemne, lub jeden bok innej maści, drugi zaś innej. Co do zalet—maść nie gra roli, często jednak szczeniaki wraz z maścią dziedziczą i zalety swych przodków; uwagę za to baczną należy zwrócić na rasowość rodziców, którą najłatwiej z pierwszego wejrzenia (piszę o pointerach) poznać można po ogonie. Jak nos u semitów w najdalszych nawet

pokoleniach jest prawdziwym zdrajcą rodziny, wskazującym na przymieszkę krwi palestyńskiej, tak u pointerów każda kropla krwi innej rasy koncentruje się w ogonie, przedłużając go nadmiernie i filuternie zakrzywiając go na końcu w górę w kształcie ucha od garnka.

Co do pory przychodzenia szczeniąt na świat, to nie gra to żadnej roli. Ciepłe pomieszczenie i silne żywienie równie dobrze rozwiną psiaka zimowego jak i szczenię z pory letniej.

H. Rudzki.

(C. d. n.)

Pies myśliwski.

Staghound.

Staghound'y czyli psy gończe używane na jelenie, jak się wyraża Hamilton Smith, „zaginęły zupełnie wskutek krzyżówki, z których powstały foxhoundy, a psy, które dziś nazywają staghoundami, są tylko wielkiemi foxhoundami". Z tym zdaniem zgadza się A. Sztolcman, twierdząc, że staghoundy powstały z typu tych gończych co i foxhoundy, przez dobór osobników roślejszych i dodanie paru kropli krwi charciej. Staghound różni się też od foxhounda b. niewiele, głównie tym, że ma brzuch więcej podkasany, pierś szerszą, maść o przeważającym kolorze białym i wzrost większy (ok. 65 cm.).

Harrier.

W ostatnich czasach do polowania na zające zaczęto wytwarzać specjalną rasę harrierów (zajęczarzy). Psy te stopniowo wyprodukowywano z gończych starego typu, przekrzyżowanych beaglami i obecnie poprawianych foxhoundami. Przewaga foxhoundów wyraża się znacznie, to też psy te są właściwie foxhoundami w minjaturze. Są bardzo obecnie w Anglji popularne. Odznaczają się piękną żywą maścią, tych samych odmian co foxhoundy, tylko czystych i jaskrawych kolorów. Harriery są wytrzymałe i szybkie, tak, że zająca zmęczą najdalej w 2 godziny.

Otterhound.

Specjalnie do tępienia wyder posiadają Anglicy psy gończe ostrowłose zwane Otterhoundami (psy wydrowe). Od psów tych szybkość nie jest wymaganą, nie mogą jej bowiem rozwijać na grzązkim terenie. To też nic dziwnego, że w żyłach ich wiele krwi bloodhoundów płynie, co nawet w charakterze głów otterhoundów się wyraża. Są to psy duże, barczyste, o silnym węchu i nizkim tonie głosu. Sierść mają ostrą, z miękkim puchem od spodu, maści przeważnie siwej lub popielatej, również buro-ceglastej. A. Sztolcman wyprowadza rodowód otterhoundów, od lżejszych północnych gończych ostrowłosych, które według hr. Le Couteulx anglicy przekrzyżowali gryfonami niwerneńskiemi. Wreszcie w nowych już czasach, dodano im dość znaczny procent krwi bloodhoundów, o czem już wzmiankowałem.

Beagle.

Aby zakończyć z gończemi angielskiemi należy wspomieć o beaglach. Są to gończe w minjaturze, tak samo jak bassety, z tą tylko różnicą, że nie posiadają tak skróconych i wykręconych nóg. Głos mają niezwykle donośny i wykazują dużą zawziętość. Rasa ta jest dość starą i już za królowej Elżbiety ang. istniały beagle rozmaitej wielkości. Dziś są hodowane w paru odmianach. Polowanie par force w Anglji mogło się rozwinąć należycie w zależności od dobrych psów gończych. To też Anglicy doprowadzili psy te do maximum wydajności energetycznej. Dziś stosunki się zmieniły, gdy dawniej bowiem polowanie odbywało się raczej dla wyprobowania i trainingu psów, — dziś koń jest głównym aktorem. To też od psa wymaga się wielkiej szybkości i wytrzymałości, które są najlepszym kryterjum tejże szybkości i wytrzymałości u konia. Nic też dziwnego, że anglicy zapatrzeni w ten cel wyłączny, mniejszą zwracali uwagę na inne cechy swych gończych, dzięki czemu ustępują one podobno gończym francuskim, a nawet jakoby rosyjskim pod względem harmonijności głosów, a także wierności trzymania się tropu.

Ogary polskie.

W dawnej Polsce polowanie par force nigdy nie było praktykowane, to też ogary polskie inne miały przystosowanie, niż gończe francuskie i angielskie. Służyły one mianowicie do tropienia i naganiania zwierza początkowo pod oszczep później pod broń palną, wobec czego wielkie ilości ich nie były potrzebne, nigdy więc w Polsce nie były hodowane takie zgraje ogarów jak to się praktykowało w Anglji lub Francji. Piśmiennych danych co do pochodzenia naszych ogarów niema wcale, można się więc oprzeć w tym względzie tylko na jedynym bodaj zdaniu Sztolcmana oraz na własnej obserwacji.

Jan Grabowski.

(D. c. n.)

Z TOWARZYSTW MYŚLIWSKICH

Komunikat.

W miarę rozwoju naszego życia politycznego, rozwija się i nasze życie społeczne; powstają coraz to nowe placówki, stowarzyszenia, koła, kółka i t. p.

Z żywem prawdziwie zadowoleniem powinniśmy witać nowopowstające placówki społeczne, o ile tylko odpowiadają one istotnym potrzebom chwili i świadczą o naszej inicjatywie na polu organizacyj społecznych.

Inaczej jednak rzecz się przedstawia, gdy obok istniejącego już towarzystwa powstaje drugie takie same, o tych samych celach i tej samej działalności.

Mamy tu na myśli nowozawiązujące się w Siedlcach koło łowieckie, pod nazwą „Siedleckie Koło Racjonalnego Polowania", którego przyszli członkowie czynią w tym względzie starania, czego dowodem jest zaświadczenie w dniu 21 lipca r. b. przez rejenta Raczyńskiego odnośnych podpisów. To Koło ma powstać obok dotychczasowego Siedleckiego Towarzystwa Łowieckiego, istniejącego prawnie już od roku 1919, zreorganizowanego w roku 1922.

Czy powołanie do życia nowego Koła o tym samym zakresie działania, jak i dotychczasowe, da się usprawiedliwić względami istotnej potrzeby i celowości? Czy w tych warunkach przyszłe koło ma jakiekolwiek widoki rozwoju na przyszłość? Czyż przez to samo nie skazuje się ono od pierwszej chwili swego powstania na powolną wegetację, utrudniając rozwinięcie się istniejącego dotychczas i zrealizowanie nakreślonego przezeń planu gospodarki łowieckiej? Czy tego rodzaju postępowanie nie ma na celu rozbijania istniejącego towarzystwa, po to tylko, aby na gruzach jego stworzyć nowe inne? Czy tego rodzaju taktyka ma coś wspólnego z uspołecznieniem wogóle, a celową pracą organizacyjną w szczególności? Komu to potrzebne?

Jeżeli ktoś ma coś przeciw tym czy innym projektom, tym czy innym metodom, to powinien wejść, jako członek do istniejącego Koła i wnieść doń twórczą pracę, czem niewątpliwie przyczyni się do rozwoju towarzystwa, mającego na celu racjonalne myślistwo, opiekę nad zwierzyną i tępienie tej plagi, jaką jest kłusownictwo.

Nie powinniśmy rozpraszać i rozdrabiać swych sił, przeciwnie, powinniśmy je skupiać dokoła istniejących organizacyj, aby zapewnić im dalszą egzystencję i rozwój.

Stojąc na gruncie poszanowania Ustawy naszego Towarzystwa Łowieckiego, ufamy, iż zdołamy skupić koło siebie więcej jednostek owianych tą samą ideą; ufni, że głos ten nie przebrzmi bez echa, wzywamy dobrze myślących do zaniechania akcji odosobnionej i do łączenia się w imię przytoczonych wyżej motywów.

Zarząd Towarzystwa Łowieckiego w Siedlcach.

Konkurs wyżłów dowodnych.

W roku bieżącym odbędą się popisy wyżłów dowodnych w sobotę, dn. 15 września w Wytomyślu (stacja Nowy Tomyśl, tor Poznań - Zbąszyń, Wielkopolska). Kandydatów na konkurs zgłoszono jedenaście, z tych dziewięć szorstkowłosistych, dwa krótkowłosiste. Pociągi z Poznania odchodzą o godz. 2^{40} po południu i 10^{20} wieczorem.

O kwaterę prosimy zgłosić się pod adresem: Dr. Maennel, Nowy Tomyśl (Wielkopolska).

Zwolennicy i miłośnicy wyżłów dowodnych mile widziani.

Zabrania się surowo przyprowadzania psów, nie zgłoszonych do konkursu.

Komitetowi porządkowemu (białe kokardki) należy się bezwzględny posłuch.

W sobotę rano o godz. siódmej wyjazd z Nowego Tomyśla do rewiru; o godzinie ósmej początek konkursu.

Około godziny pierwszej w południe śniadanie w rewirze — bufet w miejscu.

Wieczorem o ósmej w hotelu p. Mani w Nowym Tomyślu ogłoszenie wyniku konkursu.

Komitet konkursu wyżłów dowodnych.

Krzyżagórski, Bromnitz, X. Niedbał.

ROZMAITOŚCI.

Żubry białowieskie w Ameryce.

Donoszą nam iż żubry białowieskie czystej krwi istnieją jeszcze dotąd w Ameryce. Mianowicie, Ogród Zoologiczny w New-Yorku (adres: Zoological Park. Broux N. Y. — U. S. A.) posiada obecnie 22 sztuki, pochodzące od kilku, darowanych Stanom Zjednoczonym przez Mikołaja II. Zwracamy na ten ważny fakt uwagę naszych sfer miarodajnych.

Jelenie w Nowej Zelandji.

W 1908 r. prezydent Stanów Zjednoczonych i znany myśliwy, Teodor Roosevelt, ofiarował władzom Nowej Zelandji kilka wspaniałych okazów wapiti, jelenia północno-amerykańskiego.

Piękne te zwierzęta, sprowadzone na odległą wyspę, zaaklimatyzowały się tam doskonale a otaczane opieką władz, nie pozwalających ich tępienia pod surowemi karami, tak się rozmnożyły w nowej ojczyźnie, że tworzyły stada, liczące tysiące sztuk i w końcu stały się klęską dla rolników i ogrodników tamtejszych.

W końcu więc władze nowozelandzkie musiały pozwolić na tępienie szkodników i w tych dniach pierwsze okazy wapiti legły pod kulami strzelców nowozelandzkich.

Tak samo łosie, sprowadzone z Kanady do Nowej Zelandji, zaaklimatyzowały się tam doskonale.

Z powodu szeregu zapytań naszych abonentów, zawiadamiamy, iż

Administracja i Ekspedycja

znajduje się tylko w Warszawie, a nie w Poznaniu

i że należytość za prenumeratę wysyłać należy przez czek **№ 7595,** a nie czek Poznań № 200.168.

ADMINISTRACJA
„PRZEGLĄDU MYŚLIWSKIEGO i ŁOWIECTWA POLSKIEGO".

Na ogólne życzenie nowo przybyłych prenumeratorów Redakcja nasza postanowiła zaradzić wyczerpaniu pierwszych numerów pisma (№ 1 — 7) przez wydanie zbiorowego numeru zawierającego początki artykułów drukowanych w późniejszych numerach.

Ponieważ koszty tego są bardzo znaczne, rozpoczniemy druk zbiorowego numeru dopiero po otrzymaniu pewnej ilości zgłoszeń.

Prosimy zgłoszenia owe kierować do administracji pisma, Warszawa, Szpitalna 12.

Redakcja
„Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".



Numer poјed.—**4000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **9000** mk.; kwart. — **27.500** mk. Konto czek. № 7595

Cena ogłoszeń: strona — **1.000.000** mk.; 1/2 str. — **00.000** mk.; 1/4 str. — **300.000** mk.; 1/8 str. — **150.000** mk.

Redakcja i Administracja, Szpitalna Nr. 12. Druk. Sp. Wyd. Pow., Szpitalna Nr. 1.